

EDYCJA ŹRÓDEŁ

Antoni Wieniawski (1871–1939) był wprawdzie synem uznanego prozaika Juliana Wieniawskiego („Jordana”), ale nie zajmował się literaturą. Był dziedzicem wsi Chlewnia pod Grodziskiem Mazowieckim, odnosił sukcesy w hodowli bydła, zakładał kółka i towarzystwa rolnicze oraz kasy samopomocy i stowarzyszenia ubezpieczeń od pomoru zwierząt. Od wybuchu pierwszej wojny światowej działał w wyższych sferach politycznych jako członek Centralnego Komitetu Obywatelskiego, a w 1917 roku wszedł w skład Tymczasowej Rady Stanu. Zajmował się położeniem ludności cywilnej na terenach objętych działaniami wojennymi, negocjował najpierw z Rosjanami, później z Niemcami. Po wojnie znów był tylko dziedzicem Chlewni, ale w wolnych chwilach pisał pamiętniki, z których zachował się jeden tom, przechowywany dziś w Muzeum im. Anny i Jarosława Iwaszkiewiczów w Stawisku. Maszynopis, ukończony prawdopodobnie w lutym 1939 roku, trafił tam zapewne dzięki dawnej myśliwskiej znajomości Wieniawskiego ze Stanisławem Lilpopem. Autor zmarł dwa dni przed wybuchem wojny, 28 sierpnia.

Pamiętnik dziedzica z Chlewni jest nie tylko źródłem historycznym, lecz także szczególnym, do tej pory niepublikowanym tekstem o walorach literackich. Przygotowując do druku jego fragmenty, nie komentowałem warstwy faktograficznej. Na dobrą sprawę można powiedzieć, że jest to reportaż z pierwszych lat wojny. Dynamika zdarzeń, obrazy miejsc i ludzi, a przede wszystkim wojennego chaosu stanowią dla autora przepustkę do literatury.

Piotr Mitzner

Antoni Wieniawski

Urywki wspomnień (1914–1915)

Ostatnie dni lipca 1914 roku upływały w gorączkowym oczekiwaniu. Krzyżowały się najsprzeczniejsze wieści. Dzienniki i dodatki nadzwyczajne były rozchwytywane. Cenzura wykreślała wszystkie alarmujące telegramy. Dokładniejsze wiadomości podawały pisma rosyjskie i francuskie, niemieckie bowiem były ściśle cenzurowane. Podawano sobie półgłosem tajemnicze wersje o powrotnej podróży Poincarégo, którego wypadki zaskoczyły podczas urzędowej wizyty w Petersburgu. W czasie jego pobytu miał miejsce silny wybuch w fabryce amunicji za Petersburgiem. Wybuch ten, jak i strejk w fabrykach petersburskich, przypisywano agentom niemieckim. Opowiadano sobie, że na Bałtyku zmobilizowana eskadra niemiecka czyha na prezydenta, by przez wzięcie go do niewoli wywołać zamieszanie. Kawiarnie i miejsca publiczne były przepełnione. Ludzie całymi godzinami

spacerowali po ulicach, licząc na spotkanie znajomych. Liczba „dobrze poinformowanych” rosła szybko. (...)

Wrażenie ogłoszonej mobilizacji było piorunujące. Tłumy wyległy na ulicę. Wszędzie tworzyły się gromadki. Mówiono półgłosem, trwożnie rozglądając się dookoła i patrząc podejrzliwie dookoła siebie. Ludzie gnani byli żądzą zdobycia jakichś wiadomości. Telefony, telegraf były w obłężeniu. Był to okres, w którym największa zawsze liczba ludzi znajdowała się w podróżach kuracyjnych, turystycznych. Jednych niepokoił los rodzin, oddalonych od kraju w tak ciężkiej chwili, innych los synów, mężów, braci, których czekało spełnienie tak niestety ciężkiego obowiązku.

Czy to istotnie obowiązek? Czy Polak musi przelewać krew w obronie wielkości i potęgi wrogiej nam Rosji? Czy należy spełniać rozkaz i stawić się w najbliższym urzędzie wojskowym?

Pytanie to stawiało sobie tysiące ludzi. Rozkaz mobilizacji zastał mnie w Warszawie. Tegoż wieczoru pośpieszyłem do Chlewni, dokąd już wiadomość oczywiście przeniknęła. Nazajutrz od wczesnego ranka miałem istną procesję. Służba, włócznie z początku z bliższych, później z dalszych okolic, różni rzemieślnicy grodzicy, z którymi spotykałem się na terenie pracy społecznej, wszystko cisnęło się z pytaniem: czy zgłaszać się dobrowolnie, czy kręć się i czekać, aż będą brać przemocą?

Nastroje były wyraźnie opozycyjne. „Niech się tam Niemcy z Moskalami za tby biorą, ale co nam do tego” – mówili śmielsi. „A mało psiekwie z nas wyciskają i naszym chlebem i krzywdą się tuczą”. Pomruk szedł coraz głośniejszy. Przyrzekłem udać się natychmiast do Warszawy, by zasięgnąć języka. Tłumaczyłem, że w tak niezmiernie ważnej sprawie nie można działać „na wyrwyki”. Trzeba działać solidarnie, podług pewnego planu. Charakterystycznym było, że ludzie umiarkowani w tym wypadku występowali najodważniej i nie taili oburzenia z powodu metod stosowanych przez rząd rosyjski. Przekleństwa, skargi na złodziejstwa i nadużycia stawały się coraz głośniejsze. Z trudem tylko można było głośy te uspokoić. (...)

Niepewność sytuacji trwała krótko, już 3 sierpnia „Gazeta Warszawska” i „Gazeta Poranna” zamieściły płomienne odezwy do ludności, aby spełniła święty obowiązek i stanęła do walki z odwiecznym wrogiem, czyhającym na podbój Słowiańszczyzny i ostatecznie zgnębienie Polski. Za artykułami poszły odezwy rozlepione po ulicach, w kilkunastu miejscach zgromadzono młodzież, która przeciągała przez miasto z okrzykami „śmierć Niemcom” i ze śpiewem *Roty*.

Przykład ten podchwyciła policja. Wnet zaimprovizowano rosyjskie pochody patriotyczne. Wyruszyły one z pałacu archijereja przy ul. Miodowej. Młodzież uniwersytecka, wyłącznie Rosjanie, gdyż młodzież polska bojkotowała Uniwersytet Warszawski, różne podejrzane figury obu płci, garstka niższych urzędników – [wszyscy – P.M.] uroczystie nieśli ikony, portret cesarza i śpiewając *Boże, cesarza chroń* i inne patriotyczne pieśni, przeciągali przez ulice śródmieścia. Odwiedzenia dzielnic robotniczych nie ryzykowano: przyjęcie byłoby niezbyt z pewnością życzliwe. Manifestacje te pozwoliły ajencjom

urzędowym wysłać telegramy o patriotycznym zapale miejscowej ludności i o gorących objawach przywiązania do „ubóstwianego monarchy”. (...)

Nazajutrz po ogłoszeniu mobilizacji publiczność rzuciła się tłumnie na kasy bankowe, by wycofać swoje wkłady. Kierownicy banków zwrócili się do prezesa warszawskiego oddziału Banku Państwa o specjalną pomoc kredytową, która by umożliwiła im zadośćuczynienie najpilniejszym wypłatom. Prezes baron Tiesenhausen, człowiek ze wszech miar przyzwoity, przedstawił im otrzymane w nocy z Petersburga polecenie natychmiastowego wstrzymania wszystkich kredytów i wypłacania częściowo tylko z największymi utrudnieniami sum z rachunków klienteli. Banki zmuszone były zamknąć kasy, odwołując się do interwencji policji wobec oblegających je tłumów. Gotówka znikła z błyskawiczną szybkością z obiegu. Najzamożniejsi ludzie znaleźli się z kilkunastoma rublami w kieszeni. (...)

Domy opustoszały. Było to szczególnie widoczne. Po paru dniach gorączkowego ruchu, związanego z szykowaniem się do drogi, przyjazdem do punktu zbornego, rozdzierających niekiedy scen pożegnania zapanowała na wsi nagle martwa cisza. Młodych mężczyzn nie widziało się prawie wcale. Kobiety z zadziwiającą szybkością objęły wszystkie prawie sprawy. Nie tylko na wsi, ale i w miastach, zastępując mężów przy wszystkich czynnościach niewymagających specjalnego przygotowania. Najciężej było z rzemiosłami i pracą fabryczną. Ruch na kolejach powiększył się kilkakrotnie. Przewożenie rezerwistów, oddziałów wojskowych, materiału wojennego wymaga olbrzymiego wzmoczenia pracy na kolejach.

W końcu sierpnia zawiadowca stacji Grodzisk, urzędujący tam od trzydziestu lat, poczciwy Więckowski, podszedł do mnie z tajemniczą miną i oświadczył mi szeptem prawie, że dzieje się coś niezwykłego. Otrzymał rozkaz wstrzymania wszystkich pociągów zwykłych i przepuszczania bez najmniejszej zwłoki jedynie pociągów wojskowych. „Od dwóch dni przechodzi nocą po kilkanaście pociągów z wojskiem, artylerią, końmi, w kierunku na Skierniewice. Wagony oficerskie bez świateł. Nie słychać głosów ludzkich. Czasem tylko koń zarży. Szykuje się widać duża bitwa”. Gdy tegoż dnia wracał z Warszawy, dopełnił mi „wojskowego meldunku” wiadomością otrzymaną pocztą pantoflową od kolegi swego ze Skierniewic, że wojska nocą pomaszzerowały lasami okalającymi Skierniewice i dąży w kierunku południowo-zachodnim. (...)

Do Warszawy dochodziły alarmujące głosy o wielkich spustoszeniach w Lubelskiem, o konieczności natychmiastowej pomocy. Wniosek, postawiony na zwołanym *ad hoc* urzędowym posiedzeniu CKO [Centralnego Komitetu Obywatelskiego], o wystanie paru członków dla zbadania istotnego stanu rzeczy został natychmiast przyjęty. Delegowano Stanisława Czekanowskiego i mnie. Już nazajutrz ruszyliśmy w drogę, uzbrojeni w specjalne przepustki, umożliwiające dotarcie do terenu operacyjnego. Linia kolejowa przeciążona była pociągami wojskowymi. Zwykłe pociągi kursowały nader rzadko i dostanie się do nich było niesłychanie utrudnione, pojechaliliśmy więc samochodem komitetowym.

Lublin przedstawiał obraz nieopisanego chaosu. Ulice przepętnione były wojskiem. Liczne samochody wojskowe pędziły w różnych kierunkach, wozy Czerwonego Krzyża

pełne rannych, wozy wyładowane różnymi artykułami wojskowymi snuły się nieprzerwanym sznurem ulicami wiodącymi do dworca. Z trudem tylko przecisnęliśmy się do domu Stanisława Śliwińskiego, u którego rozbiliśmy namioty. Jako dyrektor Syndykatu Lubelskiego, niestrudzony działacz społeczny, był on jednym z ludzi, dookoła których skupiały się najważniejsze sprawy. Wespół z Leonem Przanowskim, prezesem dyrekcji szczegółowej Towarzystwa Kredytowego Ziemskiego, ze szwagrem tegoż, zacnym Tadeuszem Rojewskim, Ciświckim, Steckim, Hemplami i paroma innymi dźwigali oni na swych barkach ciężar wszystkich spraw miejscowych.

Chwilowo położenie miasta było opanowane. Mimo że od kilku tygodni zgromadzone tam były znaczne siły wojskowe, nie poczyniono żadnych prawie przygotowań związanych z oczekiwanymi walkami. Szpitale wojskowe mogły przyjąć drobną tylko część rannych, których rozmieszczać trzeba było w improwizowanych lazaretach, na oczekaniu urządzanych w szkołach, gmachach publicznych. Brakło pościeli, bielizny, środków opatrunkowych. Nie było pociągów sanitarnych do wysyłki cięższych rannych do większych szpitali. Brakło wózków sanitarnych. Niestety rannych transportowano z dala na wozach chłopskich. Wszyscy prawie lekarze wojskowi towarzyszyli armii, posuwającej się za armią austriacką. Na nielicznych lekarzy prywatnych spadał ciężar opatrunków i koniecznych natychmiastowych operacji. Ciężar nie lada, wszyscy bowiem młodszy lekarze byli zmobilizowani. Pozostawiono tylko starszych ponad 55 czy 60 lat. Podziw budziła energia i poświęcenie pań lubelskich. Z właściwą Polakom zdolnością organizowania, gdy tego zachodzi potrzeba, w kilka godzin stworzono kadry pielęgniarek, gospodyń, szwaczek dla szycia niezbędnej bielizny. Pomagały panie lekarzom przy najcięższych zabiegach, zdobywały bieliznę, środki opatrunkowe, żywność. Wszystko cicho, składnie, z pogodnym uśmiechem na ustach.

Po raz pierwszy zetknąłem się z cierpieniami wojny. Skłonni jesteśmy zawsze kojarzyć pojęcie wojny z pojęciem wielkich bohaterskich porywów, genialnych pomysłów strategicznych, tytanicznych walk. W duszach ludzi, którzy nie stykali się z wojną, panuje wszechwładnie w pierwszym okresie pierwiastek heroiczny. Złudzenia te pryskają z chwilą bezpośredniego zetknięcia się z wojną. Jesteśmy wobec tych fragmentów, z których się całość straszliwych walk składa. Okrutne cierpienia ludzkie, fizyczne i moralne, zupełne zgaszenie jednostki zamienionej w bezwolny automat, zdany na łaskę i nieszczęście dowództwa, będącego na niższych szczeblach w rękach ludzi na marnym poziomie etycznym i umysłowym. A z biegiem czasu wytwarza się w nieskończonym tańcu „dowództwa” zanik ludzkich uczuć, bezgraniczny egoizm, obojętność na cudze cierpienia, przechodząca niekiedy w wyrafinowane okrucieństwo, słowem, ten okrutny proces dziczenia, który jest nieuniknionym następstwem bytowania w atmosferze podstępnej, ohydnej walki, którą geniusz ludzki potęguje coraz to nowymi i coraz to okrutniejszymi wynalazkami.

Jeśli na każdym kroku rzucał się w oczy brak wszelkiej troski o rannych, to tym więcej zapomniano zupełnie o jeńcach; ani pomieszczeń przygotowanych, ani pożywienia. A przybywało ich dużo. Pędzeni jak stado bydła przez rosyjskie żołdactwo, pokryci grubą

warstwą brudu, śmiertelnie znużeni, górowali jednak nad Rosjanami cywilizowanym wyglądem, godnością, z jaką znosili smutną swą dolę, która później coraz tragiczniejszą się stawała.

Wśród pułków austriackich w początkach wojny wysyłanych na front przeważały pułki polskie. W Lublinie wśród jeńców była znaczna większość Polaków, nie dziw też, że starano się ulżyć im drobnostkami, bo na wydatniejszą pomoc zdobyć się nie było można.

Gdyśmy ze Śliwińskim wędrowali po prowizorycznych szpitalach, na podwórzu jednego z gmachów trafiliśmy na rozdawnictwo przygodnego obiadu. Dwie panie posuwały się wzdłuż szeregu jeńców i z niesionego za nimi dużego naczynia kuchennego nalewały do garnuszków zupę. Na końcu szeregu stał młody, elegancki, urodziwy oficer. Gdy panie dochodziły do końca szeregu, dno naczynia przeświecać zaczęło. Ostatniemu żołnierzowi wiano resztę zupy. Dla oficera zabrakło. Widziałem, jak dwie duże tły stoczyły się po jego policzkach, bo czasu było trzeba, by przynieść z dość oddalonej kuchni świeżą porcję. Wdałem się z nim w rozmowę. Od dwóch dni nic nie miał w ustach, pochodził z arystokratycznej austriackiej rodziny, na dwa tygodnie przed wybuchem wojny odbył się jego ślub. (...)

Utkwiło mi w pamięci opowiadanie lekarza, że oficerowie wskazywali jedni drugim prostytutki chore wśród całej falangi, która zjechała do Lublina. Były one szczególnie poszukiwane, zapewniało to bowiem dostanie się do szpitala, a potem dłuższą domową kurację. Objaw to tak potworny, że gdyby nie osoba, która to opowiadała, wierzyć byłoby trudno. (...)

Nazajutrz dwoma wózkami ruszyliśmy wczesnym rankiem ze Śliwińskim i Leonem Starnawskim, by objechać właściwy teren walk, który rozpoczął się o 7 do 10 kilometrów od Lublina. Niedrzwica Szlachecka i Kościelna i liczne wsie dookoła Bychawy przedstawiały dla nas, nowicjuszków, wstrząsający obraz. Dymiące jeszcze zgliszcza budynków rozbitych pociskami armatnimi. Pola miejscami dosłownie zastlane porzuconymi karabinami, taśmami od karabinów maszynowych, różnymi akcesoriami żołnierskimi. W wielu miejscach trupy ledwo przysypane ziemią, spod której sterczały ręce lub nogi bose, ze śladami zdzieranego przemocą obuwia.

Wszędzie ślady grabienia trupów przez ludzi-szakali, maruderów, przeważnie jednak przez miejscową ludność. Zachodziliśmy do wielu chat. Wszędzie płaszcze żołnierskie, mundury austriackie i rosyjskie. Przede wszystkim jednak rzucano się na austriackie buty żółte, sznurowane, z wysokimi cholewkami. Istotnie były one pierwszorzędne i, jak całe zresztą pierwsze wyekwipowanie armii austriackiej, prawie luksusowe. W jednej chacie gospodarz przyznał nam się do dwudziestu kilku par obuwia. Mówił o tym jako o drobnej tylko kompensacie za straty, jakie poniósł, i za mitręgę, bo kilka dni spędzić musieli w odległej o kilka kilometrów wiosce.

Nikt nie pomyślał o zbieraniu karabinów, licznych worków z nabojami i pocisków armatnich. Odpowiednie zarządzenia uczyniono dopiero po paru dniach, gdyśmy po powrocie zwrócili uwagę lubelskim władzom na niebezpieczeństwo bandytyzmu, gdy ludność miejscowa zdobędzie takie ilości broni.

Wsie ogołoczone były z koni, chwytanym przez obie armie w czasie ucieczki lub pościgu. Pozostawiono chore, niezdolne do marszu. Po chatupach kryli się liczni dezercerzy, którym chłopcy udzielali schronienia i pomocy. We wsiach przeważały kobiety. Wielu mężczyzn wojsko przemocą zabierało z końmi i wozami, pędząc ich przed sobą dla wożenia bagażu i amunicji, znużonych lub chorych żołnierzy. Ofiary takie tygodniami nieraz przez wojsko były trzymane. (...)

Nie można się też dziwić, że w pierwszych okresach wojny były dość liczne objawy uczuć granicznych z histerią. Niedługo też trwał okres traktowania jako bohaterów żołnierzy rosyjskich, obojętnych przeważnie na wszystko, co się dookoła nich działo, a ożywionych głównie myślą, jak dostać się najprędzej do domu.

Znikały też częste początkowo objawy entuzjazmu, z jakim wystrojone panie witały w Warszawie wojska rosyjskie, obdarzając, jak to niejednokrotnie widziałem, łakociami i papierosami oddziały kozaków i mile uśmiechając (uśmiechając) się na najbardziej plugawe żarty i dowcipy, jakimi Kozacy wywdzięczali się swym admirałkom. (...)

[W październiku 1914 roku] w Warszawie zawrzało jak w ulu. Rozpoczęła się gwałtowna i bezładna ewakuacja wszystkich urzędów. Pierwszy ewakuowany został Bank Państwa, jeśli mię pamięć nie myli, do Wilna. Przed wszystkimi gmachami państwowymi stały spędzone, skąd się dało, furmanki, samochody, na które ładowano nie tylko akta i dokumenty, ale bezwartościowe graty, stoły, stołki itp. Nie mogłem powstrzymać się od pokusy zajrzenia na Dworzec Brzeski, by zobaczyć personel Uniwersytetu Warszawskiego w specjalnym pociągu z paroma tylko wagonami osobowymi, a z resztą wagonów towarowych ze znanymi napisami „8 koni 40 ludzi”, w których siedzieli na kuferkach i stołkach luminarze nauki rosyjskiej, działacze państwowi, gorliwi rusyfikatory, a nieprzejednani wrogowie młodzieży polskiej. Mam zawsze głębokie współczucie dla niedoli ludzkiej, w tym jednak razie doznawałem uczucia szczególnej radości, patrząc jak los zmiata śmiecie, które tak zanieczyszczały i zatrwały największy nasz skarb, życie duchowe młodych pokoleń. (...)

W Warszawie tymczasem zapanował ruch szalony. Samochody wojskowe pędziły we wszystkich kierunkach. Wojsko ciągnęło prawie nieprzerwanie. Miało się wrażenie czegoś chaotycznego, nieskoordynowanego. Język rosyjski ma na to niezmiernie dosadne określenie *bezhoolowie*. Nie ma na to odpowiednika w języku polskim, dopiero w czasie wojny stworzono wyraz – bałagan.

8 czy 9 października usłyszeliśmy pierwsze, bardzo odległe strzały armatnie, w kierunku południowym i południowo-zachodnim. Nazajutrz strzały stawały się coraz częstsze coraz silniejsze. Bitwa się rozpoczynała na dobre. Nad Warszawą krążyły samoloty niemieckie, gęsto ostrzeliwane ze specjalnych matych armatek. Jedna z nich ustawiona była na dachu gmachu telefonów, najwyższego budynku w Warszawie.

Jeśli mię pamięć nie myli, padły też wówczas na miasto pierwsze bomby z zeppelinów i z samolotów. Z aeroplanów rzucano liczne odezwy o pokojowych intencjach względem Polski, o poszanowaniu praw obywateli, o ile tylko nie będzie wrogich wystąpień.

11 października rozpoczęła się silna i nieprzerwana prawie kanonada, słabnąca nieco pod wieczór.

Mimo rozpoczynającej się poważnej bitwy, w której ważyły się losy Warszawy, oficerowie hulali na zabój. Kawiarnie, restauracje, nocne lokale były przepelnione. Samochody wojskowe z pijanymi oficerami i dziewczynami najgorszego gatunku wyprawiały w nocy dzikie harce, i to pod okiem generał-gubernatora i dowódców armii. (...)

Nie mogłem oprzeć się pokusie i 15 października wyszedłem na miasto o 7 rano. W Alejach Ujazdowskich panowała, jak zwykle o tej porze, cisza, przerywana tylko odgłosami strzałów armatnich. Na Nowym Świecie ruch już panował dość ożywiony. Koło kościoła karmelitów dochodzić zaczął jakiś głucho, nieprzerwany odgłos. Była ósma rano. Gdym dochodził do Resursy Obywatelskiej, na tle placu Zamkowego pojawiły się skręcające z Nowego Zjazdu dwukołowe wózki, zaprzężone w małe, przeważnie siwe koniki, prowadzone przez żołnierzy w wielkich, białych barankowych czapach, papachami zwanych. Wózki ciągnęły nieskończenie długim szeregiem, głucho turkocząc po żelaznym moście. Amunicja, prowiant, kuchnie polowe, potem piechota, za nią artyleria polowa. Korowód ten ciągnął z krótkimi przerwami przez dwa dni. Tłumy wyległy na ulice, przyglądając się ciekawie, z uczuciem ulgi tym obrońcom Warszawy. (...)

Kontrolując czasowe schroniska dla ludności uciekającej przed wojskami nieprzyjacielskimi, miałem sposobność zapoznania się ze stanem przedmieść. Stan ten był opłakany. Szczególniej na przedmieściach praskich, Bródnie i Szmulowiźnie, panowały nieprawdopodobne brudy, na ulicach i podwórzach grząskie błoto, kupy śmieci niewywożonych z powodu zarekwirowania koni. Mnóstwo ludzi wałęsających się bez pracy, na ulicach bez żadnej opieki gromady brudnych dzieci. Twarze zachmurzone, spod zmarszczonych brwi, spode łba rzucały złe, pełne nienawiści spojrzenia. Zupełny brak zapasów żywności i opału, którego brak w całym mieście już wówczas dotkliwie dawał się we znaki. Cena miatu węglowego i lichego torfu dochodziła do 1 rubla za pud, czyli z górą 30 zł za 100 kg.

Liczne rozmowy z mężczyznami, jak i kobietami wprawiły mnie w duże przygnębienie. Żadnej inicjatywy dla zapewnienia rodzinom możliwości przetrwania zbliżającej się zimy. „Muszą nam dać jeść” – brzmiała wszędzie prawie odpowiedź. „A jak nie będzie z czego dać, jeśli Niemiec wejdzie?”. „To będziemy urzynać łby żydowskim spekulantom, którzy żywność wykupują i gromadzą”. (...)

Skoro o jeńcach mowa, staje mi w oczach obrazek, którego byliśmy świadkami z Józefem Pomorskim. Wychodziliśmy około południa z biura CKO [Centralnego Komitetu Obywatelskiego – dop. P.M.], mieszczącego się wówczas prowizorycznie na Krakowskim Przedmieściu 7, w lokalu Związku Cukrowników. Koło bram Uniwersytetu przechodził oddział wziętych do niewoli dragonów niemieckich. Młodzi, urodziwi chłopcy w świeżych mundurach szli śmiało z głowami podniesionymi do góry. „O, jakie szwabry, psiekwie!” – krzyknął jakiś ulicznik warszawski. Na to jeden z idących z brzegu żołnierzy

odwrócił się i krzyknął po polsku: „Taki ja szwab, jak ty moskal przeklęty. Zrozumiano?” [pisownia pejoratywnych określeń narodowościowych małą literą zgodnie z oryginałem – przyp. red.]. (...)

Skoro tylko władze wojskowe przepuszczały przez rogatkę wolską, wyruszyliśmy z Neronowiczami, właścicielami sąsiedniego majątku Zabłotni, by przekonać się o stanie Chlewni i Zabłotni. Z trudem uzyskać mi się udało z remizy jakiś powóz, obawiano się bowiem rekwirowania koni. Nie mogłem oczywiście odmówić drogiemu memu synowi, Antosiowi, zabrania go, rozumiałe bowiem było, jak nęcił młodzieńczą wyobraźnię widok świeżego pola walki. Na szosie panował ruch nadzwyczajny. Wozy, przeważnie dwukółowe wózki z prowiantem i amunicją, wozy Czerwonego Krzyża pełne rannych, mnóstwo żołnierzy konno lub pieszo, armaty, samochody pędzące w różnych kierunkach. Krzyki i przekleństwa w miejscach, w których tworzyły się zatory, wszystko to sprawiało wrażenie jakiego wielkiego chaosu i gorączkowego pośpiechu towarzyszącego zwykle bezładowi.

Już koło cukrowni Józefów obraz się zmieniał. Z chwilą gdyśmy opuścili szosę, znaleźliśmy się w jakiejś martwej ciszy. Pustką wiało w Wolicy. Rozwalono drzwi i okna. Dom doszczętnie zrabowany przez wojska rosyjskie, wśród których rozeszła się pogłoska, że właściciele Janaszowie są Niemcami, w czym zresztą utrwałała ich służba folwarczna. W podwórzu ani żywego ducha, porozrzucane wozy wojskowe, połamane sprzęty, wywleczone ze stodoły siano i zboża niemłócone, którymi karmiono konie.

Ploty doszczętnie spalone. O paręset metrów dalej rozpoczynało się prawdziwe pole bitwy, przypominające widok z okolic Lublina, Niedzwicy i innych. Na polach mnóstwo trupów, cokolwiek narzuconych ziemią, spod której sterczały nogi, przeważnie bose, zdołano już bowiem i tutaj zrabować obuwie. Liczba trupów zwiększała się w miarę zbliżania się do kościoła w Rokitnie, w którym poległo kilkuset Niemców. Kościół stoi na znacznej wyniosłości, dominującej nad okolicą. Niemcy tam ustawili działa, a artyleria rosyjska obracała kościół za cel pocisków. Ze ściśniętym sercem patrzyliśmy na zburzony doszczętnie piękny kościół, w który zacny proboszcz ksiądz kanonik Sędziakowski włożył tyle pracy i pieniędzy, częściowo własnych. Poryte kołami armatnimi pola ziemniaków i buraków, potrzaskane drzewa tworzyły ponury obraz. Rzecz dziwna, jednak znaczna większość domostw ocalała, a koło nich krzątali się już mieszkańcy. Trudno jednak było dowiedzieć się czegokolwiek. Na pytania nie odpowiadali, mówiąc tylko o sądnym dniu, jakim była bitwa i wyliczając, co im wojska zrabowały, i zapytując nieustannie, kto im za to zapłaci. Trudno się dziwić ludziom patrzącym na niszczenie zdobytego w ciężkim trudzie dobytku, na jego grabież. (...)

[Do Warszawy przyjechał ksiądz Georgij Lwow], późniejszy prezes Rady Ministrów w pierwszym rewolucyjnym rządzie po przewrocie 12 marca 1917 roku, był jednostką nie tylko wybitną, ale i niezwykle pociągającą. Choć nie miał wówczas jeszcze 60 lat, miał wygląd zmęczony. Twarz okolona siwiejącą już krótką brodą, poorana zmarszczkami przypominała nieco Chrystusa, jak go widywaliśmy na ikonach. W oczach żywych malowały się smutek i zaduma. Skoro milczał, miało się wrażenie, że buja myślą gdzieś

daleko, w rozmowie ożywiały się bardzo, oczy nabierały blasku, na twarzy zjawiał się pogodny uśmiech. Uśmiech zniknął, gdy mowa była o rządzie, a twarz przybierała surowy, twardy wyraz.

Lwow był jedną z najwybitniejszych postaci opozycji umiarkowanej. „Moskwić ja”, wspominał parokrotnie, chcąc podkreślić wielką różnicę, jaka zachodziła między tak zwanymi „moskwićzami” a petersburskimi ludźmi.

Nazajutrz po przyjeździe ziemców [członków Wszechrosyjskiego Związku Ziemstw – dop. P.M.], w kilka dni po zakończeniu bitwy pod Warszawą, zawieźliśmy ich na teren świeżo odbytych walk. O ile mnie pamięć nie myli, towarzyszyli im Seweryn Czetwertyński, Maciej Radziwiłł, ja i jeszcze ktoś z kolegów z CKO. Dojechaliśmy autem do Raszyńska, gdzie oczekiwały nas bryczki z Falent, majątku księżnej Sewerynowej. Pojechaliśmy do bardzo zniszczonego Pruszkowa i do Pęcic, gdzie oczekiwał nas Antoni Marylski. Z pięknego dworu o pałacowym zakroju, budowanego w XVIII wieku przez Sapiehów, pozostała kupa gruzów, ocalały tylko piwnice, w których przesiedział on z synami i całą służbą kilka dni w czasie bitwy. Cenny księgozbiór doszczętnie spalony. Gdzieś tam części połamanych starych mebli, sprzętów domowych. Spalona część stajen i mieszkanie służby. Wspaniałe stare drzewa potrzaskane. W parku rozrzucone szczątki wojskowych wozów, potrzaskane karabiny, mnóstwo pustych giłz, ziemia poryta pociskami armatnimi, świeżo usypany nieopodal od dworu spory kopiec, grób poległych Rosjan i Niemców, których szczątki zgodnie spoczywają w śmiertelnej ciszy.

Smutny dzień jesienny, z drobnym deszczem, czynił obraz jeszcze bardziej ponurym. Przed oczami stanął mi wspaniały szkic Grottgera z cyklu *Wojna*. Postać o okrutnym wyrazie twarzy, z płonącą pochodnią w ręku, unosi się nad wielką równiną, na której płoną wsie, z których ludność ucieka, na polach stopy trupów. Spojrzałem na Lwowa. Stał oparty o drzewo z pochyloną głową. Podeszedłem do niego. Po twarzy spływały mu łzy.

Spojrzał na mnie i półgłosem rzekł: „Tak, Tołstoj ma rację, wojna to straszna rzecz. W imię czego ją prowadzimy, co da ona Rosji i Słowiańszczyźnie, czy pokonamy przemoc germańską, czy zyskamy dla Rosji wolność? Czy koniecznie okupić ją musimy tak olbrzymimi ofiarami?”

Ciemno już było, gdyśmy wracali do Warszawy. Musieliśmy jechać wolno, mijając nieustannie wozy wojskowe i samochody wiozące rannych. Lwow sam rozpoczął rozmowę o naszych sprawach. Wskazywał na wielkie trudności, jakie stawiać będzie petersburska reakcja rozumnemu załatwieniu sprawy polskiej. Sfery liberalne rosyjskie rozumieją słuszność żądania autonomii. Obejmować ona mogłaby tylko ziemie rdzennie polskie, a więc zabór pruski i zachodnią część Galicji. (...)

Zaopatrzenie wojska chlebem, kaszą jaglaną, tzw. krupami, słoniną, grochem było tak obfite, że wystarczało to i na wyżywienie ludności w pobliżu frontu. W czasie pięciomiesięcznego pobytu wojsk rosyjskich w Chlewni służba folwarczna i gospodarze żywili się wojskowymi produktami. Jedyne owies obliczany był skąpo i wojsko brało, gdzie się dało.

Marnotrawstwo było nieprawdopodobne. Objężdżając ze Stanisławem Leśniowskim w marcu okolice na tyłach frontu rosyjskiego nad Rawką, weszliśmy do obszernej

chałupy, by się trochę ogrzać, niedaleko kuchni stały pod ścianą symetrycznie poustawiane rzędy razowego chleba, sięgające pod sam pułap. (...)

Choć zwykły śmiertelnik mało miał sposobności wglądania za kulisy życia wojskowego, to wystarczyło nam to, cośmy niekiedy dostrzec mogli, aby mieć pojęcie o tym bezprzykładnym marnotrawstwie, otwartej grabieży wszystkiego, co grabić się dało, o niesłychanym próżniactwie, korupcji, wykręcaniu się od służby na froncie, których widownią była armia rosyjska. Gdy do tego dodamy powszechny defetyzm, wietrzenie na każdym kroku przekupstwa i zdrady, to każdy, kto nie chciał zamykać na to oczu, zdawał sobie sprawę, że porażka Rosji jest nieunikniona. Potrzeba było istotnie zaślepienia, by wierzyć w zwycięstwo Rosji i mówić o duchu patriotyzmu i ofiarności. Duchem tym ożywione były jednostki, liczne niewątpliwie, szlachetne i gotowe do poświęceń, ale masa była bezduszna, pozbawiona wiary we własne siły, a niszczycielskie instynkty wschodnie czekały tylko na sposobność chwili, by zerwać więzy i „pohulać”. (...)

Wielokrotnie przekonać się mogłem, jak głęboko tkwiła w duszy Rosjan nienawiść do „panów buntowszczyków”, wrogów batiuszki cara, ciemiężycieli ludu. Właściwa duszy rosyjskiej demagogia, nienawiść do ładu społecznego i pojęcia własności przejawiała się na każdym kroku.

Nastroje te znajdowały chętny posłuch u ludu naszego, który do „ruska” odnosił się z wielką sympatią i skrzętnie zbierał część zbywających zapasów żywności lub, jeśli się sposobność nadarzyła, kupował wojskową odzież. Handel ten przybrał tak wielkie rozmiary, że naczelne dowództwo stosować musiało surowe kary. (...)

Bliskość frontu pozwalała sobie wytworzyć pojęcie o tym olbrzymim aparacie, jakiego wymagała wojna. Aparat ten na zachodzie posiłkował się wszystkimi zdobyczami techniki. Czyniono tam wielkie wysiłki, by ograniczyć do minimum liczbę ludzi potrzebnych do służby poza frontem, by nie uszczuplać sił na froncie. Jeśli mnie pamięć nie myli, doprowadzono w armii niemieckiej do tego, że na 100 ludzi zmobilizowanych było 40 na froncie. W armii rosyjskiej nie było ich z pewnością więcej jak 15–20. Trudno sobie wystawić większe marnotrawstwo sił ludzkich i olbrzymiej armii wszelkiego rodzaju funkcjonariuszy przydzielonych do intendencji, służby transportowej, technicznej, wałęsających się bez celu i planu. Pochłaniało to nie tylko wielkie sumy, ale zajmowało wagony, auta wojskowe, kosztem armii walczącej na froncie.

Zamiast sprowadzić większą ilość samochodów ciężarowych, posiłkowano się, jak w czasie wojny tureckiej, dwukołowymi wózkami. Sprowadzono ich z Syberii kilkanaście tysięcy. Wózek taki, zaprzężony w małego syberyjskiego konika, kudłatego jak niedźwiadek, o baraním łbie, powożony przez brodatego pospolitaka *opoczencza* (ochotnika), jak ich nazywano, wiózł stosownie do *położenija* (regulaminu) 2 worki, razem 200 kilogramów prowiantów dla wojska, furazu dla koni lub amunicji.

Ciążar ten był obliczony na okropne, przepaściste drogi rosyjskie, wózki zaś u nas przeważnie kursowały po szosach. Dopiero po upływie kilku miesięcy zdecydowano się na powiększenie tego ładunku do 300 kg. Ciekawym byłoby obliczenie, ile wynosił koszt

transportu lokalnego na przestrzeni 50 kilometrów. Z Warszawy do Sochaczewa, biorąc pod uwagę koszt sprowadzenia wehikułu z Syberii, żywienia i ubrania furmana, utrzymywania konia, uprzęży, wózka itd.

Utonęła tu niewątpliwie znaczna część miliardów, które Rosja zdobywała drogą pożyczek w państwach zachodnich. Dziś komuniści rosyjscy z zadowoleniem wspominają, jak Rosja carska i kapitalistyczna torowała im drogę, niszcząc bez litości kapitały państw burżuazyjnych.

Szosa wiodąca przez Grójec do linii Rawki, a przez Błonie na linię Bzury przedstawiała jedyny w swoim rodzaju widok. Dwoma, a niekiedy czterema rzędami ciągnęły w dwóch kierunkach nieprzerwane rzędy dwukółek. Na wózkach kiwali się drzemiący furmani w wielkich czapach z siwych baranków, tak zwanych papachach, w starych sołdackich szynelach. Na dnie wózka leżały przepisowe dwa worki. Wszystko to przypominało jakąś wyprawę, jeśli nie średniowieczną, to z suworowskich czasów, tak drogich sercu każdego Rosjanina.

Nowoczesny koloryt nadawały bądź przelatujące od czasu do czasu niemieckie aeroplany, bądź mknące w szalonym tempie samochody ze „starszyzną”. Tempo było szczególnie przyśpieszone w samochodach zdążających w stronę Warszawy, a dużo powściągliwsze w kierunku Sochaczewa i linii frontu.

Kilkanaście przewróconych wózków, ze stojącymi nad nimi i debatującymi rosyjskim zwyczajem furmanami, znaczyło zwykle ślady tych samochodów. Od czasu do czasu tańcuch wózków przerywały większe oddziały wojska, idącego piechotą na front, niekiedy aż z Warszawy, do miejscowości pozbawionych komunikacji, cała bowiem ta linia frontu, mająca paręset kilometrów długości, rozporządzała dwoma tylko niezbyt od siebie odległymi liniami kolejowymi, Warszawsko-Wiedeńską i Kaliską, na bardzo niewielkiej przestrzeni do Skierniewic i Sochaczewa.

Zażądano ode mnie, abym wspólnie z mecenasem Henrykiem Konicem pojechał do Petersburga dla wyjednania przedłużenia moratorium. Broniełem się od tego wszelkimi siłami, a uległem jedynie na skutek telegramów Glezmera, Żukowskiego, którzy domagali się mego przybycia, by przy tej sposobności załatwić inne sprawy.

Towarzyszył nam Antoni Marylski, cieszący się sympatią w sferach opozycji, uważałem udział jego za pożyteczny jako właściciela jednego z całkowicie zniszczonych majątków, człowieka wyrobionego i inteligentnego.

Petersburga nie znam. Od jazd w sprawach CTR [Centralnego Towarzystwa Rolniczego – dop. P.M.], do których mnie parokrotnie skłonić chciano, broniełem się zawsze, czując szczególną do tego miasta odrazę.

Uderzył mnie zewnętrzny wygląd stolicy. Nic nie wskazywało, że część najkulturalniejszych zachodnich kresów jest w rękach nieprzyjaciela, że o dobę jazdy kolejną szaleje zaciepła walka na olbrzymim froncie, liczącym parę tysięcy kilometrów, a dziesiątki tysięcy ludzi giną niemal codziennie, że wojsku brak uzbrojenia i amunicji. Jedynie połowe mundury zamiast świetnych, pstrych uniformów oficerów gwardyjskich wskazywały na „czasy

wojenne". Miasto wrzało życiem. Nieliczne wspaniałe automobile, wiozące wojskowych, cywilów, wystrojone damy i damulki, mknące w szalonym pędzie dorożki, zaprzężone w pyszne rysaki, w hotelach, restauracjach zgiełk i gwar, wspaniałe wystawy sklepowe, pełne najkosztowniejzych towarów, w sklepach ścisk, szczególnie w sklepach z delikatesami Jelisiejewych (petersburski Potier), wieczorem lejący się szampan, zakazana w całym państwie wódka, dyskretnie podawana w filiżankach od czarnej kawy, wszystko to składało się na jakiś obraz potworny po prostu przez sam kontrast z nędzą i cierpieniem życia na froncie. Ale najwięcej bodaj uderzała znaczna liczba mężczyzn młodych i silnych, których widać było wszędzie, w biurach rządowych, bankach, restauracjach.

To pierwsze wrażenie niezmiernie mocno utkwiło mi w pamięci i wracało mi z wielką siłą, gdym w 1916 roku był w Berlinie, na wpół wymarłym, w którym samochodów nie widziało się wcale, nieliczne dorożki zaprzężone były w nieprawdopodobne wywfoki, w restauracjach panowały pustki, wojskowych nie widziało się prawie wcale, a [z] mężczyzn cywilnych spotykało się tylko ludzi starych albo kaleki. (...)

Wracałem [z Petersburga do Warszawy] przekonany, że o militarnym zwycięstwie Rosji nie może być mowy.

Podał do druku Piotr Mitzner